



Dr Wojciech Charchalis (ur. 1970) - badacz i tłumacz literatury hiszpańskiego i portugalskiego obszaru językowego. Adiunkt w Zakładzie Portugalistyki Instytutu Filologii Romańskiej UAM. Autor książki *El realismo mágico en la perspectiva europea - El caso de Gonzalo Torrente Ballester* (Peter Lang, New York 2005). Z języka hiszpańskiego przełożył m. in. *Zimę w Lizbonie*, *Beltenebros*, *Jeźdźca polskiego* Antonia Muñoz Moliny, *Wszystkie dusze* Javiera Maríasa, *Kronikę zdumionego króla*, *Wyspę Ściętych Hiacyntów* Gonzalo Torrente Ballestera. Za przekład powieści *Makbara* Juana Goytisolo otrzymał Nagrodę Instytutu Cervantesa w Warszawie. Przygotowuje nowy przekład *Don Kichota* Miguela de Cervantesa.

MAGDA POTOK: Co było na początku - fascynacja literaturą, którą chciał Pan pokazać innym czy wyzwanie związane z przenoszeniem tekstu do innego systemu językowego? Co leżało u źródeł Pańskiej „przygody” z przekładem? Ambicja filologa czy miłość do książek?

WOJCIECH CHARCHALIS: W czasach, kiedy każdy z nas myśli o przyszłości i wybiera kierunek studiów, a zatem w ostatnich klasach liceum, bardzo się miotalem. Miałem być lekarzem, biologiem, ekonomistą, oceanografem i sam już nie wiem, kim jeszcze. Jednak na kilka miesięcy przed maturą okazało się, że tak naprawdę jedynym przedmiotem, w którym czułem się w miarę jako tako, był język angielski. Dodając do tego fakt, że od dziecka pożerałem książki, postanowiłem studiować filologię - początkowo była to filologia angielska (zresztą pierwszych kilka książek przetłumaczyłem z języka angielskiego). Zdecydowałem się myśleć kategoriami własnych przyjemności i fascynacji, a nie użytecznością studiów. Zapadła więc decyzja, że będę w życiu pracował w obszarze literatury. Jeśli będę umiał pisać, zostanę pisarzem, jeśli nie, to tłumaczem, a jeśli i to się nie uda, zajmę się cokolwiek - krytyką, nauczaniem, byle literaturą.

Na przekład tak naprawdę zwróciłem uwagę na pierwszym roku studiów. Pamiętam swoje zauroczenie tłumaczeniem książki *Syn złodzieja*, chilijskiego pisarza Manuela Rojasa, opublikowanym w Wydawnictwie Literackim przez Zofię Chądzyńską. Tak mocno pogrążyłem się w lekturze, że stałem w siąpiącym deszczu na jednym ze skrzyżowań w centrum Poznania i olśniło mnie, zrozumiałem, że ja też chcę robić tak wspaniałe rzeczy. Nie wróciłem więcej do tej książki, ale mam nadzieję, że jest rzeczywiście tak dobra, jak mi się wtedy wydała. Od tego czasu zacząłem poszukiwać możliwości tłumaczenia. I udało





się, był rok 1989, więc zaczęto wydawać bardzo wiele, a tłumaczy było bardzo mało, dlatego nawet jako student pierwszego roku zdołałem „wkręcić” się w świat wydawania literatury. I tak zostało do dzisiaj.

Pierwszy przekład z języka hiszpańskiego to powieść *Zima w Lizbonie* Antonia Muñoz Moliny. Student hispanistyki bierze na warsztat jednego z najwybitniejszych współczesnych pisarzy hiszpańskich, wytrawnego stylistę, mistrza nastrojowej prozy, pełnej aluzji kulturowych i cytatów ze świata muzyki, filmu i literatury. Nie czuł Pan tremy?

Trema jest zawsze przy spotkaniu z dobrą literaturą, nawet jeśli tylko ją czytamy. W każdym razie ja tak mam. A tę powieść tłumaczyłem będąc na piątym roku studiów, kiedy jeszcze nie znałem języka hiszpańskiego w stopniu takim, jakiego wymaga praca nad tym pisarzem. Dlatego praca była długa, żmudna i ciężka. Z powodu tego wielkiego wysiłku, jaki musiałem włożyć w przekład tej powieści, jestem bardzo z niej dumny. Chociaż obecnie znajduję w przekładzie pewne drobne uchybienia i niedostatki, o których nie będę mówił, ale każdy może spróbować je wyszukać. Niemniej, mam nadzieję, że są na tyle drobne, że tylko ja je dostrzegam. Tłumacz to człowiek pełen pokory wobec tłumaczonych przez siebie tekstów i świadomy, że każdy tekst zawsze można poprawić (w każdym razie taki powinien być), stąd pewnie to obsesyjne poszukiwanie błędów w swoich przekładach, nawet tych dawno już wydanych. A może to już początki manii prześladowczej, a jako tłumacz jestem na nią bardziej podatny? Jakkolwiek by było, książka jest bardzo piękna, z błędami czy bez, i powtórzę, że dalej jestem dumny z tego przekładu i lubię wracać do lektury tej powieści.

Do Muñoz Moliny wracał Pan jeszcze dwukrotnie - tłumacząc detektywistyczną powieść *Beltenebros*, a także monumentalnego *Jeźdźca polskiego*. Czy to pisarz dla Pana szczególnie ważny?

Ja go po prostu bardzo lubię. Każda z jego tłumaczonych przeze mnie powieści jest inna, ale każda, moim zdaniem, znakomita. Najbardziej lubię u Moliny połączenie powieści popularnej, a więc sensacyjnej czy kryminału z doskonałym opanowaniem języka, metafory, plastycznego obrazu, językowego poczucia humoru. Albo może inaczej: Molina to wielki pisarz, a jego literatura jest warsztatowo doskonała, a przy tym wszystkim jeszcze da się czytać. I to jak! Na przykład powieść *Beltenebros* zaczyna się słowami: „Przyjechałem do Madrytu zabić mężczyznę, którego nigdy w życiu nie widziałem”, potem następuje zawiła intryga sensacyjna. Następnie pojawia się wątek miłosny i wojenny. A w





to wszystko jest wpleciona jedna z najlepszych scen, najlepszych opisów, jakie przeczytałem w życiu: kiedy Darman nocą w pewnym pomieszczeniu przy stacji Atocha w Madrycie stoi w kompletnej ciemności i wyobraża sobie zachodzące wydarzenia (a są takie, że włos się jeży na głowie) na podstawie rozbłysków światła, szmerów i zapachów - absolutnie impresjonistyczny obraz tworzony z sieci zmysłowych odczuć. Fantastyczne. To znakomity pisarz. Bardzo go lubię.

W jakim stopniu decyzja o przekładzie tej czy innej książki zależy od tłumacza? Kto wprowadza w ruch maszynę tłumaczenia i promocji tekstu na rynku wydawniczym? Tłumacz, donosząc wydawcy o swoich literackich odkryciach czy wydawca, proponując przekład książki wyselekcjonowanej z pomocą profesjonalistów - agentów i krytyków literackich? Tłumaczył Pan pisarzy trudnych, interpretacyjnie wymagających i „rynkowo” niepewnych, jak Gonzalo Torrente Ballester czy Juan Goytisolo. Jak udało się Panu do tego przekonać wydawców? Czy zdołał Pan wypracować jakieś strategie w tym zakresie?

To bardzo złożone pytanie. Kto wprawia w ruch maszynę tłumaczenia i promocji? Z tym bywa różnie. Czasem jest to wydawca, czasem tłumacz, a czasem ktoś zupełnie przypadkowy. Niemniej, jedno jest pewne, tłumacz tłumaczy, krytyk krytykuje, a wydawca za to płaci, w związku z tym to wydawca ma decydujące słowo w kwestii tego, co się wydaje i w jaki sposób. Oczywiście zdarza mi się polecać książki różnym wydawnictwom, ale bardzo rzadko jakiś wydawca postanawia zainwestować w proponowany przeze mnie tytuł. Książka jest towarem jak każdy inny - tyle że towarem niosącym ze sobą marzenia - dającym się przeliczyć na gotówkę, więc nie dziwi, że wydawnictwo chce wydawać przede wszystkim bestsellery. Rzadko się zdarza, żeby bardzo dobra literatura była też bestsellerem, ale historia zna takie przypadki: *Imię róży*, Umberto Eco, w swoim czasie *Don Kichot*, *Sto lat samotności* Gabriela Garcíi Marqueza, a w Hiszpanii chociażby właśnie *Zima w Lizbonie*. W Polsce niestety ta powieść w swoim pierwszym wydaniu rozeszła się w nakładzie 700 egzemplarzy, a pozostała część nakładu (chyba 3000 sztuk) pojawiła się na wyprzedażach. To zaskakujące w przypadku tej książki, bo mimo że istnieje chyba dość liczna grupa osób nią zachwyconych, to jednak ciągle nie możemy się doprosić w wydawnictwach jej drugiego wydania. W jednych krajach to był bestseller, a u nas nie. Ciekawe.

A co do strategii przekonywania wydawców do wydawania literatury trudnej, to trzeba robić mądre miny i poszukiwać wydawnictw, w których osoby decyzyjne są szaleńcami





skłonnymi przeznaczyć ciężko zarobione pieniądze na zakup zabaweczek. Jedni kupują luksusowe samochody albo latają w kosmos, a inni wydają tomiki poezji albo hermetyczne powieści, które przeczyta kilka osób. Tacy szaleńcy to najlepsi kompani do rozmowy. Zwłaszcza o literaturze, która będąc absolutnie nieistotna, paradoksalnie jest jedną z rzeczy najważniejszych. Literatura - nieistotna istotność. Bardzo to grafomańskie, ale skoro taka jest prawda, to niech tak zostanie.

Tłumaczy Pan z kilku języków - hiszpańskiego, portugalskiego, angielskiego. Czy któryś z tych języków poddaje się przekładowi łatwiej niż inne, sprawia mniej kłopotów, daje więcej satysfakcji? Innymi słowy, z którego języka najbardziej lubi Pan tłumaczyć i dlaczego?

Szczerze mówiąc, nie ma znaczenia, z jakiego języka się tłumaczy - jeśli się go zna, rzecz jasna. Język obcy należy znać „dość dobrze” - piszę tak, bo znajomość języka nabytego, wyuczonego, na poziomie znajomości języka rodzimego po prostu nie jest możliwa. Ważniejsze jest to, na jaki język się tłumaczy. Zwykle wszyscy uważają, że doskonale znają język polski, bo przecież jest to język rodzimy. Nic bardziej mylnego. Poznanie języka polskiego dla tłumacza literatury jest fundamentalne i bardzo trudne, z uwagi na błędy językowe, które możemy nazwać skamieniałościami, przyzwyczajenia dialektalne, ogólne zachwaszczenie języka, itp., przed którym nikt z nas nie ucieknie. Do tego dochodzi jeszcze umiejętność posługiwania się językiem w różnych rejestrach, opanowanie różnych języków specjalistycznych i dialektów. Język polski jest dla nas najtrudniejszy. W przypadku języków obcych, możemy posłkować się słownikami, a wycucie językowe jest nam niezbędne wyłącznie na poziomie elementarnym. Przy języku rodzimym, przy języku, na który tłumaczymy, mamy obowiązek posiadać bezwzględne, totalne, doskonałe wycucie językowe, w przeciwnym bowiem razie wystawiamy się na niebezpieczeństwo napisania tekstu poprawnego leksykalnie, gramatycznie, a nawet stylistycznie czy pragmatycznie, ale suchego, pozbawionego ducha - jednym słowem niedobrego, choć jak powiadam, poprawnego.

A czy tę umiejętność - swobodnej ekspresji w języku ojczystym - można wyćwiczyć? Czy można się nauczyć dobrze pisać po polsku, czy jest to raczej pochodna talentu i liczby lektur przeczytanych w młodości, w okresie, kiedy kształtował się nasz zasób słownictwa? Tadeusz Boy-Żeleński twierdził, że zanim przystąpi do tłumaczenia książki, szuka dla niej stylistycznego ekwiwalentu w literaturze polskiej i zaczytuje się wybranym odpowiednikiem, aby nasycić się jego polszczyzną, wykształcić nową





dykcję. Czy Pan także stosuje tego rodzaju metody? Jak Pan znajduje właściwy język dla tłumaczonej przez siebie książki?

Boy-Żeleński żył w spokojniejszych czasach, tzn. w takich czasach, kiedy mógł sobie pozwolić na spokojne tłumaczenie, nie oszczędzanie czasu. Teraz takim komfortem mogą się cieszyć nieliczni. Zastanowienie się nad tłumaczeniem książki, nad tym, w jaki sposób podejść do stylu zajmuje niewiele czasu, dwa, trzy dni. Zresztą to zależy od tytułu. Obecnie większość tłumaczonej literatury nie wymaga takiego zastanowienia, bo nie ma żadnego stylu, nie wymaga też zastanawiania się, a nawet wykorzystania słownika przy tłumaczeniu. Niestety, tłumaczy się coraz więcej literatury słabej, tzw. bestsellerów, które w zasadzie nie powinny się pojawić na rynku, bo szkoda na nie papieru. A jednak gust szerokiej publiczności wymaga właśnie takich pozycji. Poczytność i ekonomia, cóż. (Oczywiście nie wszystkie bestsellery należy skreślić, bywają pośród nich książki atrakcyjne, ale niestety to rzadkość.)

Ale wracając do pytania, jeśli już znajdzie się jakaś trudniejsza książka, nad którą trzeba się zastanowić, to sposób Boya jest naprawdę dobry. Jeśli tłumaczymy powieść np. historyczną, gdzie styl archaizowany jest istotny dla treści utworu, musimy zanurzyć się w literaturze staropolskiej, żeby nasiąknąć słownictwem, strukturami i wyobraźnią językową epoki. To najbardziej przyjemna część pracy nad przekładem. Kiedy już ten etap się zakończy, ja osobiście zaczynam tłumaczyć „ciągiem” pierwsze sto stron, bez poprawiania, bez wielkiego zastanawiania się nad tekstem, po prostu staram się poczuć ten tekst, „przefiltrować” go przez siebie. Następnie poprawiam te sto stron - co nie zawsze jest łatwe i przyjemne - a po skończeniu już wiem, w jaki sposób tłumaczyć całą resztę.

Tłumaczenie to jest bardzo trudny i frustrujący kawałek chleba. Aby jednak tłumaczyć, trzeba tę pracę kochać - to trudna miłość. Trzeba kochać język, bawić się nim, zgłębiać go, poszukiwać nowości, badać go. Lektury dzieciństwa są w tym bardzo pomocne. Jeśli ktoś lubi czytać, to pewnie w którymś momencie przestanie koncentrować się tylko na fabule i dostrzeże, że coś tam zostało powiedziane czy opowiedziane w taki czy inny sposób, ładniejszy albo brzydszy. Polska literatura dla dzieci i młodzieży jest do tego bardzo dobra, szczególnie ta dla najmłodszych: Tuwim, Brzechwa, Makuszyński, to jedni z najlepszych polskich pisarzy, a wiersz *Lokomotywa* Tuwima to moim zdaniem najlepszy utwór literacki powstały w języku polskim - ta muzyczność, ten rytm, ta cała historia! Zatem lektury są ważne, ale to chyba za mało, bo przecież tę literaturę wszyscy znamy. Trzeba po prostu kochać czytać książki i kochać opowiadanie historii, to jest pierwszy





krok. Oczywiście jakiś talent trzeba mieć, żeby pisać, ale nie demonizowałbym jego znaczenia. Takie rzeczy jak talent czy natchnienie to wymysły leni i romantyków.

Jak wygląda Pana warsztat i rytm pracy? Czy tłumaczenie literatury wymaga żelaznej dyscypliny czasowej, zachowania stałego porządku dnia, czy to raczej oczekiwanie na natchnienie, praca w porywach entuzjazmu?

Nie pamiętam, który z autorów powieści (chyba był to Stephen King, ale nie pamiętam, a może Paul Auster?) zapytany o natchnienie, odpowiedział: „Znam, urzęduje w moim biurze od 9.00 do 17.00”. Każdą pracę należy wykonywać systematycznie, zwłaszcza tak czasochłonną. W tej chwili zajmuję się również innymi rzeczami, więc tłumaczę rzadko i z doskoku, niemniej ideałem, który jeszcze kilka lat temu kultywowałem, było wstawanie rano, ok. 8.00 i pracowanie przez 8 do 10 godzin, w przerwie ok. 13 - 14.00 krótki, lekki obiad. Czasem, jeśli trzeba się było pośpieszyć, jeszcze praca wieczorem. Niemniej, nigdy nie pracuję po 24.00. Niektórzy mówią, że lepiej im się pracuje w nocy. Można tak, ale później trzeba sprawę odespać, bo zasypianie nad klawiaturą zawsze jest skazane na porażkę; jeśli zaśniemy i przestaniemy pracować, to pół biedy, gorzej jest, kiedy cały czas pracujemy, bo później trzeba to wszystko popoprawiać - a często na takim „autopilocie” piszemy rzeczy straszliwe. Tłumaczenie powieści trwa 30 dni, 60 dni i każdego dnia trzeba być gotowym do walki na 100%.

Ciekawsze jest rozłożenie chęci i ochoty do pracy na przestrzeni książki. W moim przypadku wygląda to tak: przez pierwszych pięćdziesiąt stron praca idzie jak po grudzie - zastanawiam się nad stylem, w jakim powinienem to tłumaczyć, poznaję autora, wgryzam się w tekst - potem, po ok. setnej stronie, tłumaczenie idzie znakomicie, gdzieś do strony 250 (obecnie powieści najczęściej mają ok. 300 stron) i wtedy następuje kryzys. Ostatnie pięćdziesiąt stron to zawsze jest okrutna mordęga, bo już książkę znam na wylot, przestała być interesująca, a trzeba tę końcówkę wklepać do komputera.

Ostatnim pytaniem chciałabym powrócić do literatury hiszpańskiej. Wiek XX przyniósł wielką odnowę prozy i odrodzenie czytelnictwa na Półwyspie Iberyjskim, mówi się nawet o nowym „złotym wieku” literatury. Czy polscy czytelnicy mają możliwość przekonania się o tym za sprawą publikowanych przekładów? Czy istnieją autorzy lub książki ważne i wybitne, które nie zostały jeszcze przetłumaczone, a jeśli tak, jakie luki należałoby uzupełnić w pierwszej kolejności?

Istnieje takich książek bardzo wiele. Co się tyczy poezji, to bardzo mało się jej tłumaczy. A żal. Powieść ma się znacznie lepiej i wydaje jej się całkiem sporo, choć tej





naprawdę dobrej niezbyt dużo, bo słabo się sprzedaje, o czym już mówiliśmy. Już książek samych tzw. „patriarchów” powieści XX-wiecznej wyszło bardzo niewiele - chodzi mi o Gonzalo Torrente Ballester, Miguela Delibes i Camila José Celę. Ale i ze współczesnych mamy niewiele na rynku. W Polsce wydaje się kilka, w najlepszym razie kilkanaście powieści rocznie, z czego większość to rzekome bestsellery, a przecież w Hiszpanii każdego roku wydaje się setki nowych powieści. Jest kilku młodych autorów, którymi próbuję zainteresować wydawnictwa - niestety bezskutecznie. W pokoleniu Antonia Muñoz Moliny czy Javiera Mariasa też nie brak dobrych utworów, ale skoro nawet ci dwaj autorzy słabo się sprzedają, trudno liczyć na wydawanie mniej poczytnych. Gusta czytelników sprawiają, że w kwestii dobrej literatury, rynek powieści hiszpańskojęzycznej jest zdominowany przez Latynosów, a i w tym przypadku wydaje się głównie te same, bardzo znane nazwiska.

Niemniej, należy być dobrej myśli, literatury hiszpańskiej jest na naszym rynku niewiele, ale coraz więcej, więc z pewnością każdy znajdzie coś dla siebie i z pewnością w następnych latach takich książek mu nie zabraknie. A literaturę hiszpańską warto czytać, bo bywa naprawdę bardzo dobra i może dostarczyć wielkiej przyjemności i wielu wzruszeń - a czegoż więcej oczekiwać od literatury!

Dziękuję bardzo za rozmowę.

Wywiad przeprowadziła:

dr hab. Magda Potok - członek Komitetu Głównego i Naukowego OJH
Grudzień 2011



KAPITAŁ LUDZKI
NARODOWA STRATEGIA SPÓJNOŚCI



OŚRODEK
ROZWOJU
EDUKACJI

UNIA EUROPEJSKA
EUROPEJSKI
FUNDUSZ SPOŁECZNY

